

"My Polacy, My Dolnoślązacy"

autor: NADIA MATROOD

szkoła: LO I im. Bolesława Chrobrego w Kłodzku

opiekun: Magdalena Sobczyńska

temat: „*Sądźmy, że abyśmy byli szczęśliwi, potrzebujemy dobrej kanapy. Kanapy, która pomoże nam żyć wygodnie, spokojnie, całkiem bezpiecznie*”. Twoja odpowiedź na słowa papieża Franciszka wypowiedziane podczas Światowych Dni Młodzieży.

Kanapa

Wróciłem. Nareszcie wróciłem. Każdy, najdrobniejszy mięsień mojego udęczonego ciała dygotał z wyczerpania. Osiem godzin męczarni zakończyło się. Osiem godzin i trzydzieści minut, jeśli policzyć czas, który poświęciłem na ekskluzywne zakupy w osiedlowym spożywczaku u pani Haliny. Swoją drogą, gdyby nie ta dobra kobieta w życiu nie dowiedziałbym się, że Ela spod trójki wzięła rozwód, a Marek spod dziewiątki kredyt. Na kajak zresztą. Gdzie on do diabła zamierza pływać tym kajakiem, we Wrocławiu? No ale to w końcu jego sprawa, nie moja.

Wycieńczony doczłapałem do kuchni. Klapnąłem na krzesło. Siatkę z zakupami położyłem na stole. Przekrwionymi oczyma prześledziłem pięć razy drogę najcieńszej wskazówki brzydkiego zegara, który dostałem na urodziny od taty. Tik – tak, tik – tak... Monotonne tik – tak skojarzyło mi się z miętą i postanowiłem w końcu umyć zęby. Wypadałoby, bo z mojej paszczy ulatniał się odór porównywalny z tym, który dochodzi z czeluści mojego porcelanowego tronu, kiedy zapomnę o zakupie pachnącej cytryną kostki toaletowej.

Nastawiłem wodę na herbatę i dowlokłem się do łazienki. W lustrze ujrzałem zarośniętego stwora, który okazał się być mną. Spojrzał na mnie z takim wyrzutem, że poczułem się wobec niego zobowiązany. Do mycia zębów dorzuciłem golenie. Chciałbym móc powiedzieć, że przemieniło to stwora z lustra w Brada Pitta, ale nie lubię kłamać.

Odstawiony jak szczur na otwarcie kanału, podążyłem do kuchni i zabrałem się za przyrządzanie kolacji. Zalałem saszetkę czarnej herbaty wrzątkiem i przejrzałem zawartość najpierw lodówki, później szafki. Już miałem zrezygnować, gdy mój wzrok odnalazł ją ukrytą za paczką Regionalnych. Wyboru dokonałem błyskawicznie. Nie było nad czym się zastanawiać. Miałem jeszcze trochę gorącej wody. Poza tym lubię ryzyko. Już wiedziałem, że ten wieczór będzie inny niż wszystkie.

Trzy minuty później sadowiłem się wygodnie na czerwonej, wypłowiałej kanapie przed telewizorem. Przedem na małym, PRL-owskim stolyczku, obok szklanki herbaty, pyszniła się miseczka z zupką chińską o smaku krewetek. Wsunąłem miękką poduszkę pod plecy, znalazłem odpowiednie dla moich steranych pośladków wgniecenie w siedzeniu kanapy, sięgnąłem po herbatę i odpaliłem telewizor. Zacząłem od końcówki programu kulinarnego, którą obejrzałem z najwyższym zadowoleniem, podjadając pomalutku zupkę chińską. Program skończył się wyświetleniem zdjęcia całkiem apetycznie wyglądających kotletów jagnięcych, które były głównym tematem dzisiejszego odcinka. Następny kęs makaronu powędrował do moich ust. Na kolejnym kanale był jakichś dokument o drugiej wojnie światowej. Wychudzone postacie w pasiastych strojach wychodziły w wojskowym szyku z baraków. Nad ich głowami rozciągało się ponure, bezlitosne niebo. Czytałem kiedyś kilka książek o obozach. Mój przyjaciel nawet pracę magisterską o tym pisał. Coś we mnie drgnęło, oczy zasnuła mi podejrzana mgła, kiedy przypominałem sobie dane na temat śmierci żydowskich dzieci... Dla bezpieczeństwa przełączyłem na mecz. Poprawiłem się na czerwonej, wygodnej kanapie i spokojnie

dokończyłem zupkę. Bezwstydnie wysiorbałem słoną ciecz do ostatniej kropli i całkiem zadowolony z życia obejrzałem mecz do końca, popijając herbatę.

Dochodziła godzina, o której zawsze oglądałem wiadomości. Ściszyłem odrobinę telewizor, w którym właśnie piękna blondynka rozplątywała się nad skutecznością środków na biegunkę i odniosłem talerz do kuchni.

Wróciłem z paczką Regionalnych i z przyjemnością wyciągnąłem się na kanapie. Miękki, wytarty materiał otulał mnie miło z każdej strony. Podsunąłem poduszkę pod głowę i leniwie wlepiąłem wzrok w ekran. Kolorowe, chaotyczne obrazy wirowały, mieszały mi w głowie i usypiały. Podrapałem się w zamyśleniu po nosie. Ziewnąłem raz i drugi... Dwóch polityków kłóciło się na temat aborcji, potem pojawiła się dziennikarka relacjonująca przebieg wojny w Syrii i inna mówiąca, że jakaś kobieta spowodowała wypadek na autostradzie, ktoś się powiesił... Wtuliłem twarz w poduszkę. Znajomy do bólu zapach kanapy znieczulał mnie po całym dniu jak kieliszek wódki alkoholika. Zacząłem odpływać myślami gdzieś daleko, aż w końcu powieki opadły mi całkiem i chyba na moment zasnąłem, bo kiedy spojrzałem na telewizor, na ekranie leciał Shrek. Generalnie to uwielbiam aspołecznego, zielonego męża Fiony, ale na dwójce miał być nowy thriller, więc po krótkiej walce z samym sobą, postanowiłem przełączyć kanał.

Uniosłem rękę, żeby sięgnąć po pilota... i zdębiałem. Od nadgarstka aż do barku pokrywała mnie siatka czerwonych nici. Wyglądało to tak, jakby moje naczynia krwionośne wyemigrowały na powierzchnię skóry i z nieznanymi mi powodów połączyły się z kanapą. Odruchowo szarpnąłem się, żeby wstać... i nie mogłem. Nici oplotyły mnie całego. Zaczynały się i znikwały w materiale kanapy. Spod upiornie czerwonej sieci nieśmiało prześwitwały dzinsy. Gdyby nie to, mógłbym wziąć własne stopy za integralną część kanapy. Otepiały przesunąłem powoli wzrok po całym ciele. Wyglądałem jak owijająca się kokonem gąsienica. Warstwa nici przerzedzała się odrobinę na wysokości ud i bioder, ale nawet moją klatkę piersiową powoli zaczynała już okrywać szkarłatna pajęczyna. Starąłem się zwalczyć ogarniające mnie przerażenie. Odetchnąłem głęboko raz i drugi. Zamknąłem oczy i policzyłem do dziesięciu... Sen! Innego wytłumaczenia nie ma. Pokręciłem z dezaprobatą głową. Co za bzdury wymyśla zmęczony umysł. Uniosłem dłoń na tyle, na ile pozwalała mi siatka nici i uszczyptałem się w policzek. Najpierw raz. Później drugi. Triumfalny uśmiech powoli spełzał mi z twarzy. Wyrwałem sobie piętnaście włosów z głowy. Przygryzłem wewnątrz policzków aż do krwi. Zarysowałem dziąsło paznokciem. Nic. Wobec takiego obrotu sytuacji postanowiłem ulec panice. Zacząłem więc potępieńczo wyć i rzucać się na kanapie niczym Emily podczas egzorcyzmów. Zerwałem w ten sposób kilka wiązań nici na rękach, które (o zgrozo!) gdy tylko zaprzestałem moich działań, zaczęły żywo owijać me nieszczęsne ciało. Było to dla mnie wystarczającym bodźcem do wznowienia serii histerycznych ruchów. Nici mnie oplatały, ja je zrywałem. One obsesyjnie chciały wciągnąć mnie w czeluści piekielnej kanapy, a ja ogarnięty paniką starałem się wyswobodzić z ich obrzydliwego uścisku. I byłbym przegrał tę bitwę, gdyby nie stojąca na stoliczku szklanka po herbacie, którą w akcie desperacji chwyciłem, stłukłem o podłogę, raniąc sobie dłoń, a jej odłamka użyłem do przecięcia krępujących mnie więzów.

Jak oparzony wyskoczyłem z pokoju do kuchni, porwałem w biegu portfel i kluczyki do auta, leżące na stole i tyle mnie widzieli.

Do tamtego mieszkania nie wróciłem już nigdy, ale wiem, że niektóre nitki we mnie zostały... I czasem... czasem w leniwe, samotne wieczory... zaczynają się ruszać. Czuję je. Wypełniają ze mnie po to, żeby połączyć się z czymś, na czym akurat siedzę. Zabezpieczam się przed budzeniem nitki, jak tylko potrafię. W moim nowym mieszkaniu nie ma kanap. Nie kupuję zupki chińskiej, za to smażę (co z tego, że nieudolnie!) kotlety jagnięce. Unikam beczynności. Cały czas staram się być w ruchu. Ale wiem, że niezależnie od tego, co zrobię, nitki zawsze będą we mnie... przyczajone, gotowe wykorzystać każdy moment beczynności...